

# Co może, a czego nie może Parlament Europejski?

27 maja 2019

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Parę dni temu niemieckie szefostwo koncernu cukrowego Südzucker ogłosiło, że zamknie pięć swoich cukrowni w Europie – dwie w Niemczech, dwie we Francji i jedną w Polsce. Normalnie, kiedy ktoś chce się pozbyć jakiejś fabryki wystawia ją na sprzedaż, ale nie Südzucker. Zupełnie otwarcie ogłasza, że chce po prostu podnieść ceny cukru w Europie, żeby więcej zarabiać. Pracownicy cukrowni pójdą na bezrobocie, plantatorzy buraków pójdą z torbami, a ceny cukru pójdą górę. Czy Parlament Europejski (PE) może przeciwstawić się takim spekulacyjnym praktykom? Ani trochę.

Nie może, bo wybrani właśnie posłowie do PE, nie mają żadnej władzy nad traktatami europejskimi. Taki np. Traktat Lizboński, który miał się pierwotnie nazywać Konstytucją Europejską tym się różni od wszystkich konstytucji świata, że zawiera szczegóły ustroju gospodarczego. Wszystko, co robi Südzucker, jest legalne i nikt nic nie może, żeby temu przeszkodzić. Jedynym sposobem byłoby opuszczenie Unii przez jakieś państwo, gdyby mu to się nie podobało.

Wszystko, co najważniejsze dla życia materialnego Europejczyków, nie podlega więc kompetencjom posłów. Mogą oni się wyrażać w tematach drugo i trzeciorzędnych: jest ich razem 85, bo je dokładnie wyznaczono. Jeśli jacyś ludzie mówili wam, że „zmienią Unię”, by ją uczynić np. socjalną, demokratyczną, ekologiczną, „Europę narodów”, czy jakkolwiek inną niż teraz, robili was w balona, bo wszystkie te kwestie regulują traktaty europejskie, na które europosłowie nie mają najmniejszego wpływu. Gdyby ktoś zechciał np. uniemożliwić lub choć ograniczyć ucieczki podatkowe, to nic z tego, bo PE nie może o jotę naruszyć traktatowej zasady „wolnego przepływu

kapitałów”.

Czym jeszcze różni ten parlament od wszystkich innych, uchodzących za demokratyczne? Nie ma on żadnego prawa do inicjatywy ustawodawczej. Może jedynie czytać sobie „dyrektywy” lub „regulacje”, które są odpowiednikami ustaw, przygotowane przez Komisję Europejską (KE), rodzaj rządu Unii, dziś jeszcze z Junckerem na czele. Tylko KE ma inicjatywę ustawodawczą w Unii. PE może się na temat dyrektyw wypowiadać, jeśli KE zechce przedstawić PE jakąś dyrektywę z puli 85 dozwolonych, drugorzędnych tematów.

Gdyby, powiedzmy, europarlamentarzystom coś się stało i chcieliby koniecznie ustanowić jakieś prawo, musieliby błagać o napisanie go przez KE, która zgodnie z traktatami może to po prostu olać i absolutnie nic się nie stanie. Parlament może jedynie zgłaszać poprawki do dyrektyw i regulacji przysyłanych z KE. „Zgłaszać”, ale nie uchwalać, bo nawet tutaj PE nie ma ostatniego słowa, jak byłoby w zwykłych parlamentach.

Jest coś, z czym PE musi dzielić decyzję o ewentualnych poprawkach. Ta czynność oficjalnie nazywa się „współdecydowaniem”. To coś to Rada Europejska (RE), ta jeszcze z Tuskiem na czele. RE reprezentuje rządy państw członkowskich. Np. jeśli europejscy ministrowie od rybołówstwa i środowiska zgodzą się na to, by PE dorzucił do jakiejś regulacji zakaz „łowienia” ryb za pomocą elektryczności, to zostanie to w końcu uchwalone (i zostało, niedawno). PE i RE muszą uchwalić dokładnie ten sam tekst, pierwotnie przygotowany przez KE, inaczej nic z tego.

Tu przy okazji trafiamy na coś, co jednak upodabnia PE do działania normalnych parlamentów i pozostaje ważnym czynnikiem prawotwórstwa: różne lobby, które wokół niego krążą. Lobby „rybaków” łowiących za pomocą wyładowań elektrycznych ograniczało się w zasadzie do ludzi z jednego kraju (Holandii): było za słabe, by skutecznie przeciwdziałać zakazowi. Mogło jedynie przez lata go opóźniać, co się jednak

udało.

Ale to nie jest dokładnie tak, że PE sięga absolutnego zera władzy. KE potrzebuje PE, żeby przyklepać budżet lub fatalne dla naszego kontynentu traktaty międzynarodowe typu CETA. Może teoretycznie negocjować z KE i RE, jeśli się w czymś zgodzi. Tak naprawdę najważniejsze dyrektywy europejskie są dyktowane KE przez RE, kiedy występuje ona jako zespół nie jakichś ministrów, lecz szefów państw. Oczywiście decydują ci najsilniejsi politycznie.

Do czego więc służy Parlament Europejski? Owszem, jako miejsce wakacji politycznych dla zasłużonych, fajna szkołka dla młodych – też, jednak, choć ma bardzo ograniczone możliwości, ma pewne cechy obronne: może blokować niektóre złe dyrektywy z drugorzędnych tematów, a nawet międzynarodowe traktaty handlowe. Tego drugiego co prawda nie robi, a i to pierwsze rzadko, ale niektórzy uczciwi eurodeputowani mogą choć alarmować swe opinie publiczne o podejrzanych projektach.

Z tego wszystkiego wystarczy zapamiętać, że obietnice kandydatów do PE były z reguły nic nie warte, bo niemożliwe do spełnienia. Ale być może jakichś obrońców, choć nielicznych, warto mieć. Na osłodę (ale nie w formie cukru).

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: [Strajk.eu](http://Strajk.eu)